

Marek Dryjer

SZKLANE MIASTO



MAREK DRYJER

**SZKLANE
MIASTO**

© Copyright by Marek Dryjer & e-bookowo
ISBN 978-83-7859-013-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Patronat medialny

Twojakultura.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

*Książkę dedykuję żonie –
Elżbiecie oraz rodzicom
– Hannie i Jackowi*

Ciepły sierpniowy dzień nie wskazywał żadnego zagrożenia, wręcz przeciwnie jeszcze bardziej rozleniwiał mocno znużonych upałem mieszkańców Wrocławia, którzy z każdą godziną płąsali coraz wolniej. Hala Ludowa i Ostrów Tumski zapełniały się ludźmi. Lekki wiatr, który rano wprawiał w orzeźwienie, teraz parzył gorącym dotykiem. Zakorkowane siedemsetty-sięczne miasto, wolne od studentów, którzy zjechali do swych domów, nie potrafiło otrząsnąć się z wciąż narastającego marazmu. Dymiące auta, blokujące przestrzeń, stojące w kolejce niczym skazańcy przed uśmierceniem. Twarze kierowców, zadymione od tłących się niedopałków i purpurą wyścielone. Wszyscy identyczni, jakby sklonowani. Jakby tacy sami. I mężczyzna, któremu lód spłynął z wafla prosto na ziemię, roztopiony pacnął na bruk, robiąc śmiesznego kleksa. I kobieta, która krzycząc na wystraszone dziecko, za wszelką cenę próbowała wyrzucić na nim presję. Malec cały drżał ze strachu. Mokry od potu i łez, próbował coś powiedzieć. Wydawało się, że zaledwie porusza ustami, że jego spowolniony grymas, który w pełni objął twarz, nic więcej już nie ukáže. Spowolnione ruchy, taka sama mowa niczym na zwolnionym ujęciu, paraliżowały otoczenie. Pies, który już dawno temu schował się do budy, unikając najgorszego, teraz miotał się jak oszalały. Przeskakując bariery ochronne, wyskoczył z mostu. Machając łapami przypominającymi skrzydła, mocno uderzył o lustro wody. Popłynął wraz z jej nurtem, w bezruchu, pozbawiony ludzkich spojrzeń. Wspaniały, wiszący Most Grunwaldzki, osadzony na pylonach, charakteryzujący się obszernymi ramionami, których zawinięte zdobienia kształtowały znamienne przęsło, odczuwał fale gorąca i przeciążenia. Stalowy, oblicowany granitem ledwo dyszał, wchłaniając warkot silników i opary spalin zgromadzonych na nim pojazdów. Klaksony wyły jak opętane, kierowcy krzyczeli... W jednej chwili wszystko jednak ustało. Usłyszeli wtedy ciszę, zobaczyli głęboką ciemność i żar płonącego nieba. Nieduża

ciężarówka zatrzymała się na środku przeprawy. Wysiadł z niej krępy mężczyzna, który z uśmiechem na ustach w ułamku sekundy zdetonował ukryty w pojeździe ładunek...

Jasne światło, którego blask wbił oczy prosto do mózgu pierwszemu, który na nie spojrział. Niczym milion słońc świecących na Ziemię naraz i ze wszystkich możliwych kierunków, niczym piekło, co żarem niewyobrażalnym spaliło całą boskość. Błysk nie do opisania i biel jakiej nikt dotąd nie znał, po chwili zalana żółcią zamordowanych. Kolor polnych kwiatów, słonecznych, otaczał biel zewsząd. Rozszerzając się bezustannie, pochłoniął ją ostatecznie. Pojawił się punkt, też biały na środku, jasnością oślepił, pod lazurową mgielką schronił. Bezchmurne dotąd niebo beczące głucho z brezentowych obłoków baranich, ciasno wciśnięte w falujące płyty nieznanym nikomu antracytowych chmur. Mgielka coraz bardziej rozszerzająca swe jaśniejące macki, nachodząca bezustannie na siebie, niosąca śmierć, a pod nią jasny grzyb, jak tamte światło, powyżej zaś kolejna chmura niczym gradowy obłok. To taniec niczym drgawki w agonii, to koniec niczym początek nowego. Śmiercionośny grzyb niczym ludzki mózg pofałdowany w swej strukturze nacieka na siebie, unosząc się coraz wyżej, jak gaz i pył wulkaniczny, które niespodziewanie wystrzeliły w niebo z potworną siłą. Zapach mokrego kamienia. Przerażliwy syk wiatru, jak grzmot letniej burzy, tylko okropniejszy i ten błyszczący pierścień, który ciągle się powiększa, zbliżając coraz bardziej, a wtedy grzyb ciemnieje. Zapada się, jakby zwijając. O zgrozo, toż to piekło, to siła nieczysta, to utrapienie...

Uderzenie jest miażdżące, a fala, która je wywołała zabójcza. To tętent nadchodzącej śmierci, co wywołał trzęsienie ziemi, to zgrzyt pękających kości. Światło, co zabija widokiem i temperatura, co pali na popiół niewyobrażalnym żarem i ta dudniąca fala, ognisty podmuch, niemy krzyk przesiąkniętych trwożą

mieszkańców. Grzyb cały czas rośnie i ciemnieje. Sczerniały, traci świetlistą barwę, obłożony smolistą sadzą, napromienioną do granic ludzkiego lęku, ledwo się w środku tli, niknącym bladym płomieniem lichego przeznaczenia. W tej właśnie chwili, gdy zawył okrutnie, życie straciło kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Żniwiarz dopiero wyruszył na łowy, wszak plony miały być obszerne. Wyrósł wspaniale w całej okazałości, prężąc swój atomowy grzbiet. Targany zawieszonym powietrzem, świszczący zdradliwie, otoczył się zewsząd czernią, jakby przy tym skrył. Białe smugi światła ponad nim i niebieskie tło dookoła, to czyście niebo, co na powrót powstało... to nadzieja, co i tak zaraz umrze, ale teraz wydała swój ostateczny głos. Grzyb spopielony.

Stał i patrzył, gdzieś daleko przed siebie. Zamyślił się i trwał w tym przez chwilę. Nigdy mu to się dotąd nie zdarzyło. Nigdy, aż do dziś. Uniósł głowę, porażony słońcem, instynktownie przymknął oczy. Powieki ciężko opadły, ledwo mogło przebić się przez nie światło. To ciepło, było niesamowite. Usłyszał odgłosy miasta, ryk silników poprzedzony piskiem opon. Cisza w tym miejscu była zaledwie marzeniem, którego spełnienie miało nadejść później. Poczul miły zapach, aromat konwalii przemknął prawie niezauważenie. Prawie, ale on go w porę wyłapał. Odwrócił się w jej kierunku, nie spojrzal jednak na nią, nie zdążył... Głos skrzeczącego ochryple ptaka, zmącił nastrój. Co to za dźwięk, co odwraca uwagę, pomyślał. Skupienie już nie wróciło. Ruszył przed siebie. Zobaczył innych, podobnych do niego samego. Pokiwał na boki głową, uśmiech pojawił się dopiero na sam koniec.

Najpierw cisza, krótka, głęboka i to przecucie, że zaraz coś się wydarzy. Ciekawe skąd ludzie to wiedzą, czy jest to zapisane w genach? Może mózg jest o stokroć mądrzejszy niż wszyscy myślą, tylko nie pracuje na pełnych obrotach? Z pewnością tak

jest, bo po chwili o wszystkim zapomina, ale nie w tym momencie, który był inny od wszystkich wcześniejszych. Uderzenie było zatrważające. Jak stutonowy głąz spadający na człowieka z dziesiątek metrów, taki pozostawiła porządek w umyśle innych. Grzmot, czy wybuch? On myślał, a inni krzyczeli. Wiele gardel wydało swój ostatni dźwięk. Jasne światło, które się pojawiło, przypomniało mu coś. Tak bardzo chciał się mylić. Stanął czas, wskazówki zegarków wyskoczyły z orbit. Dziwne mrowienie przeszło po skórze. Chwilę potem był już pewien. Dostrzegł człowieka, który spalił się w jednej chwili, oddalony od niego może o sto metrów. Stał i patrzył, aż spłonął ostatecznie. Tuż po wybuchu, od razu po tym, jak błysk położył setki nieżywych na ziemi, on schował swój wzrok w ostatniej chwili. Zadrzało podłozę. Zakołysało nim na boki. Nie upadł, utrzymał równowagę. Kostka brukowa zaczęła falować. Wybiła się w górę i spadała poniżej. Cudem uchronił się od ciężkiego odłamka. Odskoczył w ostatniej chwili. Dostrzegł dziewczynę, która zamarła. Z rozwartymi ustami i z zamkniętymi oczami oczekiwała na coś, czego nie знаła. Prawie umarła ze strachu, jej serce biło jak oszalałe. W ostatniej chwili przewrócił ją na ziemię, uderzyła łokciami o grunt. Nawet nie krzyknęła. Upadł tuż obok, instynktownie osłaniając głowę. Jeśli to nie jest koniec świata, to ból tych ludzi jest nadaremny, zrozumiał od razu. Fala termiczna i rozbłysk świetlny, siały prawdziwe spustoszenie. Nie mógł patrzeć, ale widział, nie chciał pamiętać, ale musiał... palonych i rozrywanych na strzepy ludzi, nie można tak zwyczajnie zapomnieć. I ten grzyb wyłaniający się w oddali niczym zielone drzewo, kształtujący swą koronę, która obszernie rozpychała się na boki. On już wiedział, a świadomość tego daru potęgowała narastające wciąż przygnębienie. Ta wiedza była zabójcza. Łzy spłynęły mu po policzkach, gorycz dotarła aż do ust...

– Twarzą do ziemi, rozumiesz!? – wykrzyknął.

– Dlaczego?

– Połóż głowę na bruku, jeśli chcesz żyć!

– Tak, dobrze?

– Tak. Nogami w stronę wybuchu, łokcie za głowę i na boki. I zasłoń uszy, mocno dociskając palcami, żeby ci bębenków nie rozsadziło. Nie możesz się poruszyć, choćby nie wiem co, dopóki ci na to nie pozwolę. Powiedz, że rozumiesz?

– Rozumiem – odparła, po czym zrobiła to, co jej nakazał.

– I rozchyl delikatnie usta, bo ci płuca spali...

Ciała rozerwane na strzępy wyleciały prosto w powietrze. Jakaś monstrualna siła rzucała nimi niczym szmacianymi lalkami. W powietrzu unosił się zapach śmierci. W ciężarówce ukryta była dziesięciokilatonowa bomba atomowa, której eksplozja zrobiła krater wielkości siedemdziesięciu pięciu boisk piłkarskich. Ponieważ wybuchła na moście, który rozerwała na kawałki, wzburzyła płynącą pod nim rzekę. Powstała ogromna ściana wody, której dwudziestometrowe fale natychmiast wkroczyły do miasta. W promieniu czterystu metrów wyparowało prawie wszystko, do półtora kilometra zginęło chwilę potem. Ci, co stali i patrzyli, już więcej nie zobaczą. Ci, co pomyśleli, że ocaleją, nie przeżyli. Wiara była w nich ogromna, ale zwyczajnie nie mieli szans. Za blisko byli wybuchu, strefa zero pochłonęła ich niczym gąbka resztki wilgoci na zabryzganym zlewie...

Leżeli z twarzami przyklejonymi do ziemi, brud wchodził im prosto do ust. Wilgoć, która pojawiła się zaraz potem, rozmazała go, tworząc zmyślne rysunki. Ciało napięte jak struna, mięśnie twarde jak stal. Ile trzeba mieć w sobie siły, aby nie zwarować? Ile zaparcia, by walczyć w sytuacji i tak przegranej? Minęło już trochę czasu; trochę, jak najbardziej względne, bo

on przecież stanął, zatrzymał się wraz z nimi. Było to jednak tylko złudzenie, bo po wybuchu przetoczyła się ponad nimi fala uderzeniowa. Zdarła skórę do kości, rozebrała stalowe konstrukcje i betonowe zapory, dokonała wyroku. Ale oni poczuli zaledwie jej łaskotanie, te pieszczoty były subtelne. Dlaczego ich ominęła, dlaczego ocalała? Po co każe więc się jak robakowi w amoku? Mięli szczęście, znajdowali się około trzech kilometrów od epicentrum wybuchu i leżeli na środku obszernego placu. Żadnych budynków w pobliżu, dachów i innych ciężkich elementów, ocalili także głowy. Niczym nie oberwali, nic ich też nie przygniotło, tylko kilka fragmentów foli, które zaczepiły się o ich wystające łokcie. Jakieś kartonowe pudełko po mleku, które walało się obok i nieduża gałąź z pobliskiego parku, wysuszona na wiór, pozbawiona przy tym wszystkich, delikatnych liści...

- Jesteś cała?
- Chyba tak – odparła bez przekonania.
- Wstajemy!
- Już? – zaskoczyło ją to jeszcze bardziej.
- Natychmiast! Mamy tylko dwadzieścia minut, żeby uciec przed opadem radioaktywnym.
- Uciec? Dokąd? – spojrzała z niedowierzaniem.
- Nie wiem, musimy znaleźć samochód. Musimy zdążyć odnaleźć schronienie.
- Jesteś pewien?
- Tak, zaufaj mi.
- Będę musiała, nie mam innego wyboru.
- Tak, zakryj skórę. Naciągnij też rękawy.
- A oni, pomożemy im? – wskazała w stronę wybuchu.
- Niestety nie, dla nich nie ma już ratunku.

- Jak to?
- Musimy uciekać, biegnij!
- Znajdą nas?
- Tak, satelity zarejestrowały wybuch.
- Kiedy nas odnajdą? – spytała zasapana.
- Nie wiem.
- Tam jest jakiś samochód! – niemal zawróciła.
- Zostaw go, on już nie pojedzie – powstrzymał ją.
- Dlaczego?
- Impuls elektromagnetyczny spalił go od środka.
- Co takiego!?! – krzyknęła.
- Bierz plecak, biegniemy. Tu liczą się naprawdę sekundy!

Złapał ją za ramię, krzyknęła z bólu. Łokieć krwawił okazale, czerwona maź wsiąkła głęboko w mankiet. Pchnął ją przed siebie, wprost w stronę zaparkowanego nieopodal auta. Trzydzieści kroków, bo nie było ich więcej, zrobili błyskawicznie. Nie było czasu do zastanowienia, zresztą nie było już się nad czym głowić. Przerabiał to kiedyś wielokrotnie, teraz na szczęście mógł z tej wiedzy skorzystać. Może ich jeszcze ocali? Choć sam ledwo w to wierzył, wiedział, że musi spróbować. Dostrzegł w oddali pieklący się kłęb dymu i sadzy. Parujący śmiertelnym gazem bufon straszyl swym widokiem. Teraz buzujący jeszcze niczym podwodny gejzer we własnych wnętrznościach, tlił się ostatkiem bladego światła. Dogorywał, zapowiadając dla szczęśliwie ocalonych śmierć w męczarniach...

Pobiegli w drugą stronę, byle dalej, byle zdążyć. Dopadli do Forda, był to zadbanej Mustang z lat siedemdziesiątych poprzedniego wieku. Jasne, skórzane siedzenia nie wskazywały, aby ktoś nim ostatnio jechał. Był zamknięty, mężczyzna zbił szybę kamieniem. Szkło rozprysło się na boki, odrobinę wpadło

także do środka. Wymiótł je od razu ręką na zewnątrz. Otworzył dziewczynie drugie drzwi, wsiadła bez zastanowienia. Nadal się trzęsąc, dygotała rozpaczliwie. Oczy jej nijak nie przypominały oczu, białka były czerwone, a źrenice większe niż całe oczodoły. Nikt nie wiedział jak one się w nich trzymały, że nie wypadły z hukiem. Dlaczego cały czas chciały widzieć? Krwawiła z powiek, nie wyglądało to dobrze. Położył się na ziemi, próbował odgadnąć kierunek wiatru, ale ten kręcił tylko na boki. Nie wiedział, w którą stronę wyruszyć, powinien prostopadle do wiatru, ale nie mógł określić jego kierunku. Sekundy uciekały, a wraz z nimi bezcenne życie. Rozglądał się dosłownie wszędzie, wodził wzrokiem po dachach umęczonego molocha. Dostrzegł wreszcie wybawienie. W chwili, gdy wydawało się, że zaryzykuje, odgadł zagadkę. Wysoko ponad nimi powiewała białą czerwoną flagą, to ona zdradziła im ten ściśle chroniony sekret. Od razu wskoczył do auta, przeszukał schowki, ale kluczyków nie znalazł. Odpalił na krótko, silnik zastukał rytmicznie. Zamknęli okna. Włączył wentylację, ale tylko taką, która wykorzystywała obieg powietrza zgromadzonego w środku pojazdu. Ruszył z piskiem opon...

– Uważaj! – krzyknęła.

– Widziałem – odparł, odbijając w lewo kierownicą. Pojazd przez chwilę jechał na jednym boku.

– O mały włos...

– Tak, mieliśmy szczęście – uśmiechnął się.

– Dokąd jedziemy?

– Nie wiem, przed siebie, byle dalej od wybuchu.

– Umrzemy? – spojrzała mu prosto w oczy.

– Pewnie tak, ale może jeszcze nie teraz...

– Czego zatem szukamy?

– Bezpiecznej kryjówki, do której dotrzemy w kilka minut. Jakiegoś wytrzymałego budynku.

– Skręć tu! – złapała za kierownicę.

– Dlaczego?

– Spójrz przed siebie, widzisz?

– Tak, jesteś genialna – odparł bez namysłu, zadzierając do góry głowę.

Zrobił ostry skręt, koła zapiszczały niczym przejechany bezański pies. Dodał jeszcze gazu i pomknął prosto w kierunku celu, była to jedyna szansa na ocalenie. Ona chciała wiedzieć, a on nie potrafił jej na to odpowiedzieć. Wiele pytań, zbitka myśli wykrzyczanych w takiej właśnie chwili. Żar emocji i jego głuche na to wszystko uszy. Zsunęła mu się obręczka, upadła bezszelestnie. Zerknął ukradkiem w jej kierunku, żal dopadł wtedy jego serce. Wpatrzony w umierającą przestrzeń, unikał spadających odłamków. Najpierw tuż obok potężny kawałek dachu rozgniółł na miazgę człapiącego staruszka. Krew bryznęła prosto na szybę. Uruchomił wycieraczki, te zrobiły tylko piekielne smugi. Zakręcił obok ronda, pojechał pod prąd i po trawniku. Skosił po drodze kilka krzewów, kwiaty zdeptał, pozostawiając głębokie wyrwy na pięknie przystrzyżonych trawnikach. Ostatki przyrody, które i tak zwiędną, jak ludzie, pomyślał. Po chwili o mało co nie przejechał wyskakującego wprost pod koła człowieka. Z piskiem opon obrócił pojazd o sto osiemdziesiąt stopni, unikając uderzenia. Desperat zahaczył o lusterko, pociągnął je nieświadomie i wyrwał, upadając z hukiem na ziemię. Samochód zakręcił się wokół własnej osi i, ciągle przyspieszając, wyrwał do przodu. Mężczyzna czuł jak dopada go fala beznadziei. Obrazy męki i bólu były zbyt wyraźne. Wspomnił rodzinę, lzy stanęły mu w oczach. Kolejny uskok, byli już bardzo blisko celu. Czy silnik wytrzyma, czy auto nie

zawiedzie? Opadające na ziemię fragmenty murów, szybujące w przestworzach ostre jak skalpel chirurga szkło. Blacha powyginana niesymetrycznie, której wzory tworzyły kubiczne obrazy i ludzie biegnący bez celu, umierający na ich oczach. Zobaczył jak jakiś facet okłada pięścią po twarzy kobietę, jak wybija jej ostatnie zęby. Po co, dlaczego? Dalej jacyś młodzi ludzie okradali stację benzynową, słychać było strzały i krzyk umierających. Wielu biegło wprost do kotła śmierci, zdążali tam, gdzie fala uderzeniowa zmiotła świat. Nie wiedzieli, że tony radioaktywnego pyłu, który zrobi z nich potwory, nadejdą właśnie stamtąd. Jakiś klecha nawoływał do walki o życie, modląc się za wszystkich. Nie zdążył uciec, potężny konar starego drzewa przygniótł go do ziemi. Jeszcze coś krzyczał, zanim zamilkł na zawsze. Rodzice z dziećmi, starzy i niedorostki, którzy jak puszczone samopas w wielkim akwarium karaluchy, rozproszyli się ostatecznie. Nigdy tego nie zapomni. Nigdy, jeśli przeżyje...

Za nimi umierało życie, widział to dobrze w lusterku, przed sobą mogli znaleźć jeszcze ocalenie. Niebo, co konturów już nie miało i chmury, które zlewały się z nim i z ziemią jednocześnie. Dziwnie to wszystko wyglądało, nigdy także nie widział niczego choć w połowie podobnego. Ciemność ich gonila, wiedział o tym. To, co jasne szarzało pośpiesznie w oczach. Zatrzymał na moment swój wzrok na pewnym człowieku, który przykucnęła. Zastygł wraz z nim, w ułamku sekundy poczuł jego śmierć. Mężczyzna ten pochylił się i przystawiając do skroni rewolwer, wypalił sobie prosto w łeb. Zwalił się na ziemię, a jego białą koszulę natychmiast pokryła gęsta krew. Elegancki garnitur splamił się od razu ziemią i brudem, a bordowy krawat śmiesznie przy tym zawiął na czole...

Nie zważając na nic, pędzili prosto do celu. Potężny budynek był już w ich zasięgu. Nowoczesny kompleks z dwustume-

trową wieżą do nieba, wyrastał z tego molocha niczym dzieciak z za małych na siebie spodni. Sky Tower swym widokiem przytłaczał wszystko wokół. Był żyjącym mitem, legendą o szklanych domach ponad chmurami. Był dumą nie tylko miasta, ale i całego kraju. Docisnął pedał i gwałtownie zahamował, siłą rozpędu o mało co nie wjechał razem z grubą szybą prosto do środka. Uderzył tylko zderzakiem, który natychmiast odpadł, o to nowoczesne, pancerne szkło. Pasażerka nie mogła otworzyć drzwi, które się zaklinowały. Jednym kopnięciem wybił je na zewnątrz, jego noga przeleciała wtedy tuż obok głowy dziewczyny. Nawet się nie poruszyła, nawet nie zdążyła się jeszcze bardziej wystraszyć. Była blada niczym śmierć, wyglądała jak umykający z ludzi strach. On, przerażony widmem atomowej apokalipsy, szukał już tylko bezpiecznego miejsca. Jeżeli ona nie jest śladem boskiego życia, to wiara nic już tutaj nie da, pomyślał. Dziewczyna była teraz jego ostatnią nadzieją, pragnieniem ocalenia. Wskoczyli wreszcie z pojazdu, bez namysłu pognali w kierunku najbliższych drzwi...

- Co robisz? – zapytała.
- Daj mi torebkę – wysypał jej zawartość.
- Zwariowałaś!?
- Potrzebuję tego...
- Po co?
- Musimy oznaczyć to miejsce!
- Oznaczyć? Nie rozumiem?
- Będą nas szukać, muszą wiedzieć, że tu jesteśmy – odpowiedział jednym tchem.
- A będą?
- Powinni...
- Kiedy?

Popatrzył na nią z wyrzutem.

– Jakież dwie, trzy godziny po wybuchu.

– Przeżyjemy?

– Może nam się uda, musimy się przygotować. Ile tu może być pięter?

– Pięćdziesiąt – krzyknęła bez zastanowienia, nie uniknęła przy tym jego mętnego wzroku. Teraz to on patrzył jej prosto w oczy, nie wytrzymała tego spojrzenia, spuściła powieki.

– Musimy dostać się na górę.

– Jak wysoko? – dopytywała.

– Prawie pod dach, dwa piętra poniżej...

– Dlaczego?

– Unikniemy radiacji. Którędy do windy?

– Tędy, za mną! – krzyknęła, rozpoczynając bieg.

– Do tej? – nie był pewny.

– Nie, do tamtej. Jest szybkobieżna i dobrze zabezpieczona...

– Pojedzie?

– Myślę, że tak – odparła zadowolona.

Było to dosyć ryzykowne posunięcie, ale ilość pięter nie dawała wyboru. Nie zdążyliby w porę, nie uratowaliby swoich marnych skór. Ta obłądana kalkulacja nie zabrała mu więcej niż kilka sekund, po których pędzili już w kierunku nieba z prędkością pięciu metrów na sekundę. Czuł zawroty głowy, dziwne bębnienie w uszach. Ona natomiast prawie niczego nie odczuła, wyglądało na to, że nie pierwszy już raz jedzie tak nowoczesną windą. Oparł się o ścianę, która, miał wrażenie, że faluje, choć winda poruszała się w linii prostej. Dotarli gdzieś wysoko, następnie zmienili windę i jeszcze wyżej pognali z podobną

prędkością. Potem już wolniej w kolejnej i na koniec jeszcze bieg po schodach. Wszystko razem w zaledwie kilka minut, których już chyba także nie mieli...

– Co dalej? – trzęsa się niesłychanie.

– Poczekaj, daj pomyśleć! – warknął na nią, penetrując wzrokiem wszystkie dostępne pomieszczenia.

– Dlaczego to ty masz decydować o moim życiu!? – zaparła się.

– Nie teraz, nie mamy czasu...

– Właśnie, przez ciebie umrzemy! – rozplakała się.

– Przestań! – próbował ją objąć.

Wyrwała mu się.

– Mogliśmy jechać dalej, może by nam się udało!?

– Udało, co? Nie żartuj – zakpił z niej.

Spojrzała niepewnie, po czym nieśmiało zagadnęła.

– Kim ty właściwie jesteś?

– To będzie dobre miejsce – odparł, nie odpowiadając na jej pytanie.

– Dobre? Do czego, do cholery!?

– Rozbieraj się! – krzyknął na nią.

– Co ty, oszalałeś?

– Rób, co mówię, musimy przejść dekontaminację.

– Co takiego? – szeroko rozdziawiła usta.

– Musimy pozbyć się z siebie pyłu, rozumiesz?

Otworzyła szeroko oczy, na tyle mocno, że w końcu dostrzegł jej źrenice.

– Nie zrobię tego – powiedziała pewnym głosem.

– Zrobisz.